

Grabowska, Agata

Biezuń - odsłona pierwsza

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 23, 188-190

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

BIEŻUŃ – ODSŁONA PIERWSZA *)

Przede wszystkim na wstępie chyba powinnam się czytelnikom do czegoś przyznać – niezbyt lubię filmy kostiumowe i historyczną beletrystykę; drażni mnie archaiczna polszczyzna Sienkiewicza, nuży patos Bunscha, natomiast Kraszewski wręcz zabija monotonią. O Dobraczyńskim, Kossak–Szczuckiej czy Gołubiewie już nawet nie wspomnę. Nie widzę też nic specjalnie rozwijającego w “ostatnim zajeździe na Litwie”. Jak większość czytających (a jednak czytających!) ludzi pokolenia równoległego z tzw. pokoleniem JP II, zwracam uwagę za inne aspekty literatury pięknej niż spienianie bachmatów, by ruszyć na pohańca czy bladeść niewieściego dziewiczego lica. Nie lubię zatem w książkach tego, czym by się zachwycił prof. Pimko. Skoro już starsi czytelnicy przestali niniejszy tekst czytać albo złapali za długopisy, by dać “jedynie słuszny odpór siłom ciemnoty” – to dalej popiszę do tych nieco młodszych.

Dlaczego, skoro nie przepadam za produktami archaicznych pisarzy, niekiedy biorę do rąk monografie historyczne? Czego współczesny socjolog poszukuje w dziejach miejscowości? Historyk z zapisanych na katedach pergaminu bądź pożółkłego papieru wydarzeń stara się odtworzyć ludzkie losy. Antropolog kulturowy sięga zazwyczaj w obszar motywów i ich skutków. Etnolog – w warstwy dziedziczonych przyzwyczajzeń bądź przesądów. Socjolog natomiast szuka prawidłowości w przemianach struktur społecznych oraz łączących ludzi więzów i podziałów.

Wiele z tego znalazłam właśnie w książce pt. “Sześć wieków Biezuń. Czasy – miejsca – ludzie” (red. A.K.F. Wołosz, wyd. Biezuń 2007), której część pierwsza była moją niedawną lekturą. Owego czasu poświęconego na czytanie nie zaliczam do chwil utraconych. Książka owa jest bowiem lekturą dość niezwykłą. Jest nieczęsto spotykanym połączeniem historiografii z indywidualną obecnością grup społecznych i poszczególnych osób w dziejach małomiasteczkowej społeczności. Widać selekcję

*) Skrócona wersja publikowana pt.: *Biezuń – sześć wieków* [w:] “Życie Płocka”, 2008, nr 25, dodatek “Edukacja”, s. III.

materiału, by nie był przeciążony czasokres, do którego posiada się ich najwięcej, a tym samym nie jest przegadana. Wręcz przeciwnie – niekiedy czuje się niedosyt, np. gdy opisywane są perypetie ludności cywilnej podczas konfliktów zbrojnych (choćby w czasie dziewiętnastowiecznych powstań i I wojny światowej) bądź szaleństwa Kopycińskiego podczas najazdu bolszewickiego 1920 r. Aż się też prosi o obszerniejsze scharakteryzowanie struktury społecznej i wyznaniowej miasta w drugiej połowie XVIII stulecia, czyli za czasów Zamoyskich, aczkolwiek przyznam, że absolutnie nie wiem, czy są zachowane mogące temu posłużyć materiały źródłowe.

Zwrócił moją uwagę nowocześnie dobrany i włamany materiał ilustracyjny. Powoli poklatkowo przewinęły się przede mną porozbijane kafle z barokowego pałacowego pieca, przesunęło wewnątrz sklepu spożywczo-kolonialnego Ludwika Węglewskiego, przewaliły zwłoki pomordowanych w sierpeckim więzieniu tuż przed wkroczeniem do miasta Armii Czerwonej, a pod koniec przesnuła pierwszomajowa maskarada 1945 r. – pełna jeszcze dziecięcej naiwności. Po przejrzeniu zdjęć doszłam do wniosku, że ktoś mną manipulował. Nie obraziłam się jednak, a wręcz przeciwnie, bo użyty zabieg posłużył przecież budowaniu napięcia ma innym poziomie niż tylko warstwa słowna. Uświadamiamy sobie, że to były jedynie fragmenty większej całości, może zachowanej w nieprzejranych jeszcze rodzinnych albumach, a może nie, tej bezpowrotnie utraconej. Obrazy zapadły w pamięć, i to nie tylko te ułożone sekwencyjnie.

Zwraca też uwagę to, że okupacja hitlerowska oraz komunizm zyskały w książce, paradoksalnie, także ludzki wymiar. Mamy szansę na owe starsze czasy spojrzeć z perspektywy indywidualnego człowieka, niekoniecznie tego biegającego po lesie z grantami czy ukrywającego Żydów, ale tego wykupującego kartki żywnościowe i co niedzielę chodzącego przykładnie z rodziną do kościoła.

Równie bezkompromisowo odnoszą się autorzy do PRL-u jak do III Rzeczypospolitej. Nie jest dla nich ważne, kto jest czyim zięciem, szwagrem, znajomym. Opisują i analizują stan rzeczy, nie wdając się w personalia, co jak się zdaje dla osoby piszącej z perspektywy bieżącej byłoby przecież całkowicie niewykonalne.

Czytelnicy otrzymali zatem monografię historyczną bezstronną, niezważającą na narodowości i wyznania, przekonania polityczne, co nie znaczy – na szczęście – że tym samym bezpłciową. Bardzo żałuję, że tego

rodzaju publikacją nie dysponowałam, gdy musiałam pisać szkolne wypracowania poświęcone dziejom mojej rodzinnej miejscowości. Gdy – parafrazując (a może i z lekka trawestując?) Tadeusza Różewicza – “ryczałam i krew przelewałam, siedząc przy biurku”. Zazdroszczę tym, którzy będą z niej na co dzień korzystać, by poznawać uroki własnej małej ojczyzny.

Ale i ja z prawdziwą przyjemnością sięgnę po kolejne, zapowiedziane przez wydawców części. Życzę im powodzenia!